

## Przyrzeczeni

### Rozdział 1

KIEDY UJRZAŁAM GO PO RAZ PIERWSZY, nad polami kukurydzy wisiała gęsta, szara mgła, której mętne pasma snuły się powoli między obumierającymi łodygami. Był ponury wrześnieowy poranek. Stałam na skraju polnej drogi łączącej mój dom rodzinny z szosą prowadzącą do miasta, czekałam na szkolny autobus i najzwyczajniej w świecie pilnowałam swojego nosa.

Zastanawiałam się, ile razy w życiu czekałam już na ten autobus. Jak zwykle, zabijałam czas obliczeniami — jak przystało na prawdziwą miłośniczkę nauk ścisłych. Wtedy właśnie go zauważyłam.

Nagle znajomy odcinek szosy wydał mi się dziwnie nieprzyjazny i wyludniony.

Pod rozłożystym bukiem po przeciwległej stronie drogi stał nieznany mi jegomość z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Nisko rosnące, powykrzywiane gałęzie drzewa otulały go ze wszystkich stron, niemal całkowicie skrywając w cieniu jego smukłą postać. Mimo to bez problemu dostrzegłam, że ma na sobie ciemny płaszcz, długi niczym peleryna, oraz wysokie, czarne buty.

Żołądek podszedł mi do gardła. Przełknęłam głośno ślinę. Kto kryje się pod drzewem na odludziu, bladym świtem, i do tego jeszcze w czarnej pelerynie?

Musiał dostrzec, że go zauważyłam, bo niespodziewanie się poruszył, jakby niezdecydowany, czy ma odejść, czy przejść przez ulicę.

Nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam bezbronna codziennie rano, kiedy samotnie czekałam na przystanku.

Z drżącym sercem wyjrzałam na drogę. Gdzie się podziewa ten głupi autobus? I dlaczego tata musi być takim zagorzałym zwolennikiem transportu publicznego? Przecież mogłabym mieć własny samochód, jak niemal każda inna nastolatka w wieku maturalnym. Ale nie, ja muszę jeździć z innymi z powodu troski o środowisko. Jeśli jakiś ciemny typ uprowadzi mnie spod drzewa, tata będzie pewnie nalegał, żeby do drukowania ulotek z moją podobizną wykorzystano tylko papier z makulatury...

W tym cennym ułamku sekundy, który spędziłam, psiocząc na ojca, tajemniczy nieznajomy zaczął iść w moją stronę i mogłabym przysiąc, że kiedy wyłonił się z cienia — dokładnie w momencie, gdy autobus, dzięki Bogu, zamajaczył na szczycie wzniesienia oddalonego o jakieś pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania — naprawdę mogłabym przysiąc, że powiedział: „Anastazja”.

Moje dawne imię... Imię, które nadano mi zaraz po urodzeniu, w Europie Wschodniej, zanim zostałam adoptowana, przywieziona do USA, do Pensylwanii, i przechrzczona na Jessicę Packwood...

A może się przesłyszałam, bo ogłuszył mnie przeraźliwy pisk opon na wilgotnym asfalcie, zgrzyt sprzęgła i syk drzwi, które otworzył dla mnie kierowca autobusu — stary pan Dilly. Kochany, najukochańszy autobus numer 23. Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa z powodu wejścia do środka.

Burknąwszy zwyczajowe: „Dzień dobry, Jess”, pan Dilly wrzucił bieg, a ja chwiejnie ruszyłam w głąb pojazdu w poszukiwaniu pustego miejsca lub przyjaznej twarzy pośród zaspanych pasażerów. Mieszkanie na wsi miało swoje wady. O tej porze dzieciaki z miasta pewnie wciąż jeszcze smacznie spały w łózkach.

Dostrzegłszy wolne miejsce na samym końcu autobusu, opadłam z ulgą na siedzenie. Może przesadziłam. Może zadziałała bujna wyobraźnia albo naoglądałam się zbyt dużo seriali kryminalnych i teraz ponoszę tego konsekwencje. A może tajemniczy nieznajomy faktycznie chciał zrobić mi krzywdę... Przekreśliłam się na fotelu, wyjrzałam przez tylną szybę i poczułam ucisk w dołku.

Wciąż tam stał, ale teraz na samym środku drogi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i wpatrywał się w odjeżdżający autobus. We mnie.

„Anastazja...”.

Czy rzeczywiście nazwał mnie tym dawno zapomnianym imieniem?

A jeśli naprawdę znał takie szczegóły z mojego życia? Co jeszcze tajemniczy, niktający w porannej mgle nieznajomy wiedział o mojej przeszłości?

A przede wszystkim, czego ode mnie chciał?

(...)

## Rozdział 5

RODZICE NIE MIELI JEDNAK OKAZJI niczego mi wyjaśnić. Kiedy dotarliśmy do domu, tata był jeszcze w połowie zajęć z jogi tantrycznej dla nadpobudliwych seksualnie, podstarzałych hippisów, które prowadził w studiu na tyłach domu, więc mama odesłała mnie do codziennych obowiązków.

A potem Lucjusz przyszedł za wcześnie na kolację.

Byłam właśnie w stajni i przewracałam słomę w boksach, gdy kątem oka dostrzegłam cień na otwartych drewnianych drzwiach.

— Kto tam?! — zawołałam, wciąż jeszcze podenerwowana wydarzeniami dzisiejszego dnia.

Kiedy nie doczekałam się odpowiedzi, ogarnęło mnie złe przeczucie, że to nasz dzisiejszy gość nawiedza mnie w stajni. „Przecież mama go zaprosiła” — upomniałam się w myślach, a wysoki Europejczyk z wymiany międzynarodowej istotnie przeszedł przez ujeżdżalnię. „On nie może być aż tak niebezpieczny” — przekonywałam samą siebie. Pomimo aprobaty mamy na wszelki wypadek postanowiłam nie wypuszczać z rąk wideł.

— Co tu robisz? — zapytałam, kiedy się zbliżył.

— Cóż za maniery — burknął Lucjusz z niezadowoleniem przemądrzałym tonem, wzbijając każdym długim krokiem niewielkie obłoczki kurzu. Zatrzymał się ledwie metr ode mnie i znów poraził mnie jego wysoki wzrost.

— Damy nie krzyczą wniebogłosy w stajniach — ciągnął potępiający wywód. — No i cóż to za powitanie?

Albo się przesłyszałam, albo prześladowca chciał uczyć mnie etykiety?

— Zapytałam, co tu robisz. — Zacisnęłam mocniej dłoń na rękojeści wideł.

— Przyszedłem, żeby się z tobą zapoznać, to oczywiste — odparł, taksując mnie wzrokiem. Właściwie krążył wokół mnie, przyglądając się uważnie mojemu ubraniu. Odwróciłam się, żeby mieć go na oku, i zobaczyłam, że marszczy nos.

— Na pewno ty też nie możesz się doczekać, by mnie poznać — dodał.

Niezupełnie... Nie miałam pojęcia, o co chodziło, ale to jego gapienie działało mi na nerwy.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Zatrzymał się.

— Czy mi się wydaje, czy czyścisz stajnię? A ten osad na twoich butach to odchody?

— Taaa — odparłam, zdezorientowana jego tonem. Co go obchodzi wygląd moich butów? — Co wieczór grabię gnój.

— Ty? — Sprawiał wrażenie skonsternowanego... i przerażonego.

— Ktoś musi to robić — odparłam. Czemu tak się tym interesował?

— Cóż... tam, skąd pochodzę, zatrudniamy pomoc do tego typu prac! — prychnął. — Dama twojego pokroju nie powinna zniżać się do takich zajęć. To poniżające!

Na te słowa palce same zacisnęły mi się mocniej wokół rękojeści wideł. I to wcale nie ze strachu. Lucjusz Vladescu był nie tylko przerażający, ale i niezmiernie irytujący.

— Posłuchaj, mam już dość twojego skradania się i zadzierania nosa — warknęłam. — Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? I czemu za mną łazisz?!

W oczach Lucjusza zatliły się gniew i niedowierzenie.

— Twoja matka jeszcze nic ci nie powiedziała, prawda? — Pokręcił głową. — Doktor Packwood dała słowo, że wszystko ci wyjaśni. Twoi opiekunowie nie są najlepsi w dotrzymywaniu obietnic.

— Mamy... Mamy porozmawiać później — wydukałam. Moje oburzenie nieco osłabło w obliczu jawnego gniewu wypisanego na jego twarzy. — Tata prowadzi właśnie lekcję jogi...

— Jogi? — Z gardła Lucjusza wydobył się chrapliwy śmiech. — Wykrzywianie ciała w nienaturalnych pozycjach jest ważniejsze od poinformowania córki o pakcie? Poza tym kto zaprzętałby sobie głowę tak skrajnie pacyfistycznymi rozrywkami? Ludzie powinni trenować i przygotowywać się do wojny, do walki, a nie tracić czas na jednostajne zawodzenie i paplanie na temat harmonii wewnętrznej.

„Zapomnij o jodze i paplaniu” — ganiłam siebie w duchu.

— O pakcie? O jakim pakcie? — zainteresowałam się.

Jednak Lucjusz wlepił wzrok w belki dachowe i zaczął krążyć z dłońmi skrzyżowanymi za plecami, mrużąc przy tym pod nosem.

— Wszystko idzie fatalnie. Doprawdy fatalnie. Wielokrotnie doradzałem Starszemu, żeby już lata temu przyzwalił cię z powrotem do Rumunii, bo nigdy nie będziesz odpowiednią żoną...

Chwileczkę, że co...?

— Żoną?

Lucjusz przystanął nagle i na pięcie obrócił się ku mnie.

— Już męczy mnie twoja niewiedza. — Zbliżył się, pochylił i spojrzał mi prosto w oczy. — Twoi rodzice nie raczyli cię o niczym powiadomić, zatem przekazę informacje osobiście. Nie będę owijał w bawełnę. — To rzekłszy, wskazał palcem na swój tors i obwieścił spokojnym tonem, jakby zwracał się do małego dziecka: — Jestem wampirem. — Potem wyciągnął palec w moją stronę. — Ty też jesteś wampirem. Mamy się pobrać, kiedy osiągniesz pełnoletność. Zaręczyny odbyły się tuż po naszych narodzinach.

Mój umysł nie był w stanie ogarnąć fragmentu o pobraniu się ani zaręczynach. Zgubiłam się zaraz po kwestii o wampirach.

„Wariat. Lucjusz Vladescu to wariat. A ja jestem z nim sam na sam w pustej stajni” — tłukło mi się po głowie.

Zrobiłam więc to, co zrobiłaby każda inna rozsądna osoba w mojej sytuacji. Zamachnęłam się widłami, rzuciłam je na ślepo w stronę napastnika i uciekłam co sił w nogach, ignorując jego skowyt bólu.